

WIELKIE POLOWANIE

Aktorzy:

Mjr Cziżikow - Adam Ferency
Gen. Zawieniagin - Jan Nowicki
Von Braun - Wiktor Zborowski
Prof. Chariton - Jerzy Kamas
Esesman - Wojciech Malajkat

Wojna światowa dobiegała końca. Nad Odrą i Nysą Łużycką stanęły armie dwóch radzieckich frontów, liczące blisko 2 mln żołnierzy. One miały zadać ostatni cios Trzeciej Rzeszy. Zwycięzcy liczyli na wielkie łupy. Dlatego do działania przygotowywały się zespoły specjalne.

W Kostrzynie nad Odrą, tuż obok kwatery dowódcy 1 Frontu Białoruskiego marszałka Gieorgija Żukowa swoją kwaterę urządził generał NKWD Awram Pawłowicz Zawieniagin. Do niego miało należeć poszukiwanie ludzi, urządzeń i dokumentów ważnych dla Związku Radzieckiego, a fakt, że zadanie to wyznaczono oficerowi, który był zastępcą Ławrentija Berii wskazywał, jak wielkie znaczenie Stalin przywiązywał do wojennych zdobyczy. I trudno się dziwić. Niemcy, choć przegrali wojnę, to pod względem osiągnięć technicznych pozostawili daleko w tyle zwycięzców. Niemieckie czołgi, Königstiger były bez wątpienia najlepszymi wozami bojowymi świata, Niemcy mieli odrzutowe samoloty myśliwskie i bombowe, mieli samoloty rakietowe, rakiety przeciwlotnicze, kierowane kamerami telewizyjnymi rakiety wystrzeliwane z samolotów, najpotężniejsze działa kolejowe, latające bomby V-1 i rakiety balistyczne V-2. Nic więc dziwnego, że zwycięzcom bardzo zależało na poznaniu tajemnic nowej broni.

W połowie kwietnia do kwatery generała Zawieniagina przybył major bezpieczeństwa państwowego Anatolij Cziżikow.

Cziżikow: Towarzyszu generale, major Cziżikow...

Zawieniagin: Wy wprost z drogi?

Cziżikow: Tak jest.

Zawieniagin: Ale nie czas na wypoczynek. Podejdźcie tutaj.

Cziżikow podszedł do stołu, na którym leżały mapy.

Zawieniagin: Ofensywa na Berlin ruszy lada dzień. Pójdą dwa skrzydła od północy i południa. Chcę, żeby już w kwietniu za Odrą znalazł się zespół naszych naukowców. To jest lista specjalistów, którzy mają być włączeni do tego zespołu. Ustalono to w Moskwie.

Gajdukow, specjalista od artylerii rakietowej i jego asystent Mrykin. Następnie Woskriesienskij i Czertok. Oni od 1944 roku pracują nad niemieckimi raketami, tymi z Polski, które Anglicy chcieli nam wykraść, ale nie daliśmy się podejść, burzuje przeklęte... Generał Zawieniagin mówił o brytyjskiej delegacji, która we wrześniu 1944 roku przyjechała na poligon rakietowy w Bliźnie, zajęty przez wojska radzieckie. Zgodę na ich przyjazd wyraził sam Stalin. Brytyjczycy badali stanowiska startowe rakiet V-2 i zebrali dużo części, które zapakowali w skrzynie. Potem pojechali do Moskwy, gdzie okazało się, że skrzynie gdzieś się zapodziały. Rosjanie obiecali jednak, że szybko je odnajdą i odeślą do Londynu.

Rzeczywiście tak zrobili, tyle że w skrzyniach nie było części rakiet, lecz stare silniki samolotowe.

Zawieniagin: Ci specjaliści przyjadą do Niemiec w pierwszej kolejności. Potem pošlemy następnych: Głuszko, Korolow i inni. Oni będą oczywiście badać dokumenty i znalezione części. Wy macie im zapewnić bezpieczeństwo i ułatwić pracę.

Czizikow: Tak jest, towarzyszu generale.

Zawieniagin: Boję się, że Amerykanie będą szybciej w miejscach, które nas interesują. Dlatego musicie być tuż za naszymi wojskami. I nie bójcie się odpowiedzialności, jeżeli wjedziecie na teren zajęty przez Amerykanów. Usprawiedliwię was, choćby przed samym Stalinem.

Zawieniagin zdawał sobie sprawę, że ludzie, broń i sprzęt, które interesowały Rosjan, znajdowały się bliżej wojsk amerykańskich. Główny konstruktor rakiet V-2, Wehrner von Braun oraz jego najbliżsi współpracownicy w marcu 1945 roku wyjechali z ośrodka rakietowego Peenemünde na wyspie Uznam i dotarli do Bawarii. Zabrali ze sobą 14 ton dokumentacji technicznej. I było oczywiste, że zechcą te materiały oddać Amerykanom, a nie Rosjanom. Również w zasięgu wojsk amerykańskich znalazła się wielka podziemna fabryka "Dora" w Górach Harzu, gdzie Niemcy produkowali rakiety V-2 i pociski V-1.

General Zawieniagin miał jednak nadzieję, że uda się złapać von Brauna. Istniała pewna szansa. Konstruktor i jego koledzy byli pilnowani przez esesmanów, którzy nie mieli ochoty oddawać ich Amerykanom.

Konstruktor niemieckich rakiet balistycznych Wehrner von Braun zdawał sobie sprawę, że jest najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Niemczech. W jego rękach była tajemnica rakiet, które od września 1944 roku spadały na Londyn i trwożyły ludność i rząd brytyjski.

Nie było przed nimi obrony. Spadały z wysokości 90 km z prędkością przewyższającą prędkość dźwięku. Dlatego nie było ich słycać jak nadlatywały, aż wybuch uświadamiał londyńczykom, że zostali zaatakowani. Rakiety V-2 miały jednak wiele słabych stron. Ich zasięg wynosił tylko 300 km, lecz von Braun usiłował zwiększyć go instalując na kadłubach niewielkie skrzydła. Po kilku nieudanych próbach, gdy skrzydlate rakiety wznosiły się ledwie na kilkadziesiąt metrów nad wyrzutnię, w styczniu 1945 roku odbył się udany start. Rakieta A-4b osiągnęła wysokość 80 kilometrów i szybowała z prędkością 4300 km/h, aż oderwało się skrzydło. Sukces eksperymentu pozwalał mieć nadzieję, że w ciągu kilkunastu tygodni rakiety zostaną udoskonalone na tyle, że będzie ich można używać przeciwko Anglii, ale nie było już czasu na nowe eksperymenty.

W planach von Brauna było również skonstruowanie prawdziwych rakiet międzykontynentalnych, za pomocą których można byłoby zaatakować amerykańskie miasta. Póki co, planowano wystrzeliwanie ich z wyrzutni nawodnych. Rakieta byłaby holowana za okrętem w pojemniku. Gdy okręt osiągnąłby wyznaczoną pozycję w pobliżu amerykańskiego brzegu zbiorniki balastowe pojemnika byłyby napełniane wodą, tak, aby ustawił się w pozycji pionowej i z jego wnętrza mogłaby wystartować rakietka.

Drugą słabością rakiet von Brauna była głowica bojowa zawierająca ledwie tonę materiału wybuchowego. Na Londyn w czasie całej wojny spadło bez mała 2900 rakiet, co oznaczało, że w mieście eksplodowało 2900 ton trotylu. To nie było dużo, zważywszy, że podczas

jednego nalotu na niemieckie miasto alianckie bombowce potrafił zrzucić bomby o łącznej wadze 8 tysięcy ton. Sytuacja zmieniłaby się całkowicie, gdyby w głowicy V-2 był nie trotyl, lecz ładunek nuklearny.

Tak więc mimo tych słabości rakiety V-2 były bez wątpienia bronią, która najbardziej interesowała zwycięskie mocarstwa. Von Braun o tym wiedział. Pilnujący go esesmani - również.

Von Braun przekonał się o tym, gdy jego i 150 naukowców zamknięto w osiedlu otoczonym kolczastymi drutami, pilnowanym przez esesmanów. Poszedł do komendanta.

Braun: Chciałbym widzieć się z Gruppenführerem Kammlerem.

Von Braun mówił o dowódcy SS, kierującym programem raketowym.

Zwalisty esesman o twarzy obrzękłej od nadmiaru alkoholu i zaczerwienionych oczach podniósł się zza stołu.

Esesman: SS-Gruppenführer Kammler wyjechał do Pragi.

Braun: Wobec tego pan musi podjąć decyzję o rozproszeniu moich ludzi. Trzymanie nas w jednym miejscu jest bezsensu. Wystarczy nalot kilku wrogich samolotów, a nikt z nas nie przeżyje. Nie mamy się gdzie ukryć przed bombami.

Esesman: A ja nie mam możliwości przetransportowania pana ludzi w inne miejsce.

Braun: W ciągu najbliższych godzin dojedzie tutaj co najmniej dwadzieścia samochodów z Bleicherode. Wystarczy, żeby rozwieść moich ludzi po okolicznych domach.

Esesman: Nie mam takiego rozkazu...

Braun: Poleciałem również, aby jeden z samochodów z dużym zapasem benzyny oddać do pana dyspozycji...

Esesman zastanawiał się przez chwilę. Propozycja von Brauna była bardzo ciekawa. Wreszcie zdecydował się.

Esesman: Rozkażę moim żołnierzom, aby eskortowali pana pracowników do okolicznych domów. Nikt nie powinien jednak opuszczać rejonu Oberammergau. A co z pana ręką?

Esesman zauważył grymas bólu na twarzy von Brauna, który kilka dni wcześniej złamał rękę, gdy kierowca samochodu, którym jechał, zasnął i wpadł do rowu.

Braun: Wciąż boli.

Esesman: W miejscowym szpitalu jest paru lekarzy bardzo doświadczonych w składaniu połamanych rąk i nóg narciarzy. Zadzwoń tam, żeby natychmiast pana przyjęli.

Okazało się, że złamana ręka była źle złożona i miejscowy chirurg zdecydował się na ponowne łamanie. Werner von Braun w szpitalnym łóżku mógł tylko biernie obserwować, co dzieje się wokół. Najbardziej niepokojące wiadomości docierały ze wschodu, gdzie 16 kwietnia Armia Czerwona rozpoczęła uderzenie na Berlin.

W nocy 16 kwietnia o godzinie 3.00 nad radzieckimi przyczółkami nad Odrą rozbłysły trzy zielone rakiety dając sygnał do rozpoczęcia artyleryjskiej kanonady. Niebo zajaśniało ogniem tysięcy luf.

Fala pożarów, wzniecona eksplozjami pocisków, ogarniała lasy i wsie z prędkością biegnącego człowieka. Po kilkunastu minutach gorące powietrze, niosące swąd spalinowy, popiół i płonące szmaty docierały do radzieckich okopów. Tam artylerzyści z otwartymi

ustami, oszołomieni hukiem wystrzałów i dymem prochowym jak w gorączce ładowali pociski i wystrzeliwali je w stronę niemieckich stanowisk.

Po półgodzinnej kanonadzie na niebie rozpałiło się tysiące różnokolorowych rakiet. I wtedy stało się coś dziwnego. Nad linią frontu rozbłysły jasnoniebieskie smugi, które rozżarzały się z sekundy na sekundę. To sto czterdzieści reflektorów lotniczych, których światło miało odnajdować samoloty lecące na wysokości wielu kilometrów, ustawionych co dwieście metrów, świeciło w stronę nieprzyjacielskich okopów. W ich świetle nikły sylwetki żołnierzy i czołgów, podążających w stronę niemieckich linii obronnych.

Czyżby tak doświadczony oficer jak marszałek Żukow uwierzył, że światło reflektorów odegra jakąkolwiek rolę w tym wielkim natarciu? Bez wątpienia nie. Żukow tworzył widowiskową oprawę ostatniej wielkiej bitwy w Europie. Rakiety i smugi reflektorów miały być efektem, niczym więcej. Był pewny, że jego pancerny walec przetoczy się przez okopy zasłane trupami niemieckich żołnierzy i pędzić będzie w stronę Berlina. Popęnił błąd, nie doceniając wroga. Niemieccy żołnierze zatrzymali radzieckie oddziały u stóp wzgórz Seelowskich. Nie mogło to jednak trwać długo. Ogrom środków, jakie zgromadzono do tej operacji, dawał pewność, że obrona niemiecka zostanie szybko przełamana. Już 18 kwietnia wojska Żukowa przebiły się przez niemieckie linie obronne.

Generał Awram Zawieniagin był wściekły. Dotarły do niego wiadomości, że 11 kwietnia wojska amerykańskie zajęły podziemną fabrykę rakiet Dora. Co prawda, według porozumienia między mocarstwami te tereny powinny się znaleźć pod okupacją radziecką, ale wojna jest wojną. Raz ci poszli za daleko, raz tamci. Zawieniagin wiedział, że Amerykanie wycofają się z tych terenów, ale do tego czasu wywozą wszystkie najważniejsze maszyny i gotowe rakiety. Wkrótce nadeszła wiadomość, że von Braun i najważniejsi naukowcy oddali się w ręce Amerykanów. Ale nie na wszystkich polach Zawieniagin przegrywał.

Pewnego majowego dnia, gdy Berlin już był w rękach radzieckich, przyszedł do niego rozgorączkowany profesor Julij Chariton, włączony do specjalnego zespołu poszukującego niemieckich zapasów uranu.

Zawieniagin: Coście tacy zadowoleni, towarzyszu profesorze?

Chariton: Znalazłem to, czego nie spodziewałem się znaleźć! Tlenek uranu!

Zawieniagin: Gdzie znaleźliście? Na ulicy?

Chariton: Nie, w archiwum!

Zawieniagin: Tlenek uranu w archiwum? A po co faszyci go tam trzymali?

Naukowcowi zajęło trochę czasu, aby wytłumaczyć generałowi NKWD, gdzie znalazł substancję tak bardzo ważną dla radzieckich badań nuklearnych.

Hitlerowcy nadzwyczaj skrupulatnie inwentaryzowali dobra rabowane w okupowanych państwach: dzieła sztuki, aparaturę naukową i przemysłową, broń, opracowania naukowe. Dokładną dokumentację składali w specjalnym archiwum w Berlinie, które niezwykłym trafem przetrwało bombardowania i oblężenie miasta. Kartoteki zapełniały sale na sześciu kondygnacjach. Analiza ich zawartości musiała trwać przez wiele miesięcy, tym bardziej, że niemiecki personel odmówił współpracy, ale Chariton miał szczęście. Dość szybko udało mu się odnaleźć zapiski o przywiezieniu do Niemiec tlenu uranu.

Chariton: Ale ślad się urywał. Wiem, że mają w Niemczech duży zapas tlenu uranu, ale nie wiemy, gdzie teraz się znajduje.

Zawieniagin: Może u Amerykanów?

Chariton: Nie, to wykluczam. Powinien być w Berlinie lub okolicach.

Po długotrwałych i żmudnych poszukiwaniach, gdy specjalny zespół jeździł od miasta do miasta Chariton, otrzymał informację, że jakiś oddział wojska, uznając tlenek za barwnik odesłał go do... farbiarni w Berlinie.

Zawieniagin podszedł do tej wiadomości bardzo sceptycznie.

Zawieniagin: Czy to możliwe, profesorze?

Chariton: Całkowicie możliwe. Tlenek uranu ma intensywny żółty kolor. Dlatego mogli go wziąć za farbę do tkanin.

Zawieniagin: To niedobrze. Farbiarnia, o której mówicie, znajduje się niestety w części, do której weszły wojska amerykańskie.

Generał wpatrywał się w mapę miasta rozłożoną na stole. Chariton podszedł bliżej i spojrzał na punkt, który wskazywał generał.

Chariton: Odnoszę wrażenie, towarzyszu generale, że ta farbiarnia jest tuż, tuż, przy samej granicy sektora amerykańskiego, ale jeszcze po naszej stronie. Widzicie, tak się szczęśliwie złożyło.

Zawieniagin: Macie rację, Juliju Borysowiczu, omal bym to przeoczył... Oczywiście, blisko Amerykanów, ale jeszcze na naszej części!

Chariton był nadzwyczaj podniecony, gdy o świcie w konwoju NKWD dotarł do farbiarni, dużego dwupiętrowego budynku z czerwonej cegły, otoczonego wysokim murem. Wewnątrz spotkali grupę mężczyzn z czerwonymi opaskami na ramionach, którzy przedstawili się jako antyfaszyści pilnujący narodowego majątku. Rzeczywiście było czego strzec, gdyż oprócz zapasów farby magazyny były pełne owczych skór przygotowanych do barwienia i bel materiału. Antyfaszyści nie mieli jednak zamiaru stawiać oporu oddziałowi NKWD, więc Chariton i jego ludzie zaczęli przeszukiwać magazyny. W ostatnim znaleźli rzędy niewielkich drewnianych beczek ułożonych w kilku warstwach. Między nimi była tabliczkę z odręcznym napisem "U3O8".

Chariton: Zawiadomcie generała Zawieniagina, że znaleźliśmy to, czego szukaliśmy!

Sto trzydzieści ton tlenu uranu załadowano na ciężarówkę i powieszono na stację kolejową. Później Igor Kurczatow stwierdził, że ten ładunek "przyspieszył uruchomienie reaktora produkującego pluton o cały rok."

Specjalna radziecka komisja przybyła do Niemiec 24 kwietnia 1945 roku. W jej składzie byli specjaliści z różnych dziedzin, ale najwięcej było ekspertów od rakiet, co wskazywało, że rząd radziecki największą wagę przykładał do zdobycia materiałów z tej dziedziny. Szef tego specjalnego zespołu, generał Leonid Gaidukow był specjalistą od artylerii raketowej i po pierwszym okresie poszukiwań dokumentów i fachowców pozostał w Niemczech kierując instytutem "Nordhausen". Później przyjechał Wiktor Miszin, który badał fragmenty V-2, jakie znaleziono na niemieckim poligonie raketowym w Bliźnie i dostarczono do Moskwy w 1944 roku. W sierpniu przyjechali Walentyn Głuszko i sam Siergiej Korolow, obydwaj niedawno zwolnieni z więzienia, gdzie osadzono ich w 1938 roku pod zarzutem działalności antypaństwowej.

Członkowie radzieckiej komisji szybko zorientowali się, że nie mają szans na schwytanie najważniejszych niemieckich naukowców i inżynierów ani na odnalezienie najcenniejszej dokumentacji. Jednakże sytuacja nie była tak beznadziejna. Do końca 1945 roku wywieziono z Niemiec do ZSRR osiem kompletnych rakiet na paliwo płynne, czterdzieści jeden rakiet na

paliwo stałe, takich jak Rheinbote, SB-800, a ponadto 186 zespołów naprowadzania, naddźwiękowy samolot raketowy DFS 346, raketowe myśliwce Me 163B i wiele innych.

Nie schwytano najważniejszych specjalistów, takich jak Wehrner von Braun czy generał Dornberger, którzy byli już bezpieczni u Amerykanów, jednak w okolicach podziemnych zakładów "Dora" schwytano 200 techników, którzy nie zdołali lub nie chcieli uciekać na Zachód. Największą radziecką zdobyczą był Helmut Göttrup, specjalista od systemów naprowadzania rakiet. Przez wiele lat ukrywał swe komunistyczne przekonania, ale gdy mógł je zmanifestować, natychmiast oddał się w ręce radzieckie. To była najcenniejsza zdobycz Zawieniagina.

Początkowo niemieccy konstruktorzy pozostali w radzieckiej strefie okupacyjnej i rozpoczęli pracę w fabryce "Dora", którą Amerykanie oddali dopiero 1 czerwca 1945 roku, wywożąc stamtąd 100 rakiet V-2 oraz najważniejsze maszyny. Do wiosny 1946 roku udało się zatrudnić w tych zakładach, które otrzymały nazwę "Rabe", co było skrótem od Raketenbau, 1200 niemieckich techników i inżynierów. Do granicy zachodnich sektorów było bardzo blisko i wielu zdecydowało się przejść na drugą stronę. Zapewne zarówno ta sytuacja, jak i lęk przed penetracją zachodnich szpiegów nakazał Stalinowi podjąć decyzję o wielkiej przeprowadzce. Pierwszą grupę najważniejszych pracowników "Rabe" wywieziono do Związku Radzieckiego już do września 1945 roku. Drugą, znacznie większą grupę, bo od 3 do 3,5 tysiąca pracowników, przesiedlono w październiku 1945 roku. Ogółem do 1948 roku wywieziono z Niemiec 300 tysięcy raketowych i lotniczych specjalistów wraz z rodzinami. Oni mieli stworzyć raketową potęgę Kraju Rad.

W tym samym czasie na poligonie w Kapustin Jarze, położonym między Stalingradem i Astrachaniem, rozpoczęły się próby zdobycznych rakiet V-2, które nadzorował Siergiej Korolow. Jedenaście rakiet wystrzelono od października do listopada 1947 roku, z których tylko pięć trafiło w cel. Rok później wystrzelowano już rakiety zmodyfikowane przez radzieckich i niemieckich specjalistów, uzyskując nieco lepsze wyniki: na dwanaście wystrzelonych rakiet siedem trafiło w cel. Korolow, zbierając doświadczenia na poligonie w Kapustin Jarze opracował własną raketę, którą nazwał R-2.

Stalin nie potrafił docenić siły rakiet. Dopiero jego następca, Nikita Chruszczow zrozumiał, że wojnę ze Stanami Zjednoczonymi można wygrać tylko za pomocą rakiet, a nie samolotów.

Również w Stanach Zjednoczonych, gdzie znaleźli się najwybitniejsi konstruktorzy raketowi z Wehrnerem von Braunem na czele, zapomniano o raketach, choć z zupełnie innych powodów. Ameryka rozbrajała się i prezydent Harry Truman nie chciał wydawać milionów na raketowe eksperymenty. Kongres tak zmniejszył wydatki na zbrojenia, że firma Convair nie mogła dłużej prowadzić kosztownych badań z raketami V-2 i przerwała je w czerwcu 1947 roku. Czas rakiet miał dopiero nadejść.